

Nr. 32. Poznań, dnia 10 Sierpnia 1878. Rok I.

Powstanie Kilińskiego w Warszawie.

(Wyjątek z dzieła: „Zawsze Oni przez Suffczyńskiego“).*)

W domu Starosty huczne imieniny. Rzerzyński, stary Konfederat Barski, wróciwszy niedawno z Warszawy, na żądanie gości opowiada co następuje o pamiętnym boju z Moskalami, w którym brał osobisty udział:

„Wiadomo już, jak mnie o Bożym świecie niewiedzącego zaskoczyła ta insurrekcya. Schowaliśmy pieniądze, a potém pistolety za pas, kord do boku i ruszyłem do miasta: wychodzę na Nowy Świat koło Faworów, aż tu idzie kupa ludzi, uzbrojonych w szable, w piki, w szturmaki, a prowadzi ich nie duży mężczyzna w białéj czapce, w jednéj ręce szabla goła, w drugiéj pistolet odwiedziony; kiedym się z nim zrównał, zawołał na mnie: „Prosimy z sobą Mospanie!“

„A któż Waszmość jesteś! spytałem.

„Ja!“ odparł zdziwiony. „Ja jestem szewc Kiliński i proszę z sobą do tańca!“ i wskazał ku Ś. Krzyżowi, gdzie okrutnie już się bili.



Jan Kiliński.

Zastanowiłem się chwilę... iść pod komendę szewca!... a potem myślę sobie: szewc nie szewc, ale animusz djabelski! wart być szlachcicem. Dobyłem więc szabli, skłoniłem mu się nią i rzekłem: Oddaję się pod komendę Waszmości. Przystąpił do mnie bliżéj, a kiedy mi podawał rękę, którą uścisnął, spostrzegł szramę na mojéj twarzy i zawołał:

„Ba! ba! to dla Jegomości widzę nie prymicye“, a potem wskazał na moją kresę: „a od czyjejże to szabli?“

„Od moskiewskiéj! z pod Częstochowym ją wyniósł.“

„Barszczanin!!!“ rzekł, i zdjął czapkę, i nizko mi się ukłonił, a potem odwrócił się do chłopaków co szli za nim: „Hej chłopcy! gdybym zginął, słuchajcie tego Pana. Towarzysz Pana Kazimierza Puławskiego krzywą nas nie powiedzie drogą, słyszeliście?“

„Słyszeli! słyszeli! niech żyje Konfederat Barski!“ wykrzyknęli.

Ja stanąłem po lewéj stronie P. Kilińskiego i szliśmy przyspieszonym krokiem ku S. Krzyżowi. Dochodzim do Sapieżyńskiego pałacu, a tu już kulki świszczą! odstąpiłem na bok, spojrzałem na naszą kupkę — idą śmiało, ani jeden się nie ociąga, nic do siebie nie mówią, tylko słychać szmer między nimi cichy, widno pacierz mówią.

Bogu chwała! myślę sobie, to przecie nie farmazony! — Koło samego Ś. Krzyża, plecami do nas, frontem na Krakowskie przedmieście odwrócony, stoi pułk Działyńskich i sypie karabinowym ogniem; na prawém skrzydle palił się dom jakiś i oświecał całą tę scenę, a na lewem stał na tarantowatym koniu jakiś wojskowy i rozkazy wydawał. Spytałem

*) Korzystając z łaskawego pozwolenia nakładcy podajemy rycinę i artykuł z wspaniałego dzieła: „*Zawsze Oni*,“ należącego niewątpliwie do najlepszych płodów literatury polskiéj czasów ostatnich. Bliższą ocenę podamy późniéj.

P. Kilińskiego ktoby to był, a on mi rzekł, że to P. Haumann, pułkownik; P. Kiliński zatrzymał swój oddział z tyłu pułku, mnie się przy nim zostać kazał, a sam poszedł do P. Haumanna i podali sobie ręce i rozmawiali coś chwilę, a potem P. Kiliński kiwnął na nas; wzięliśmy się w lewo i stanęli koło P. Haumanna. Nad nami były schody, a na schodach hałas; P. Haumann często na nie spoglądał nad głowami; nasze niebożęta nie spodziewając się tego, aż poprzysiadali; spojrzałem do góry! a tu przez okna wieży wali się dym i rozlega się komenda „nabijaj!“ — a to P. Haumann kazał na wieżę działa zatoczyć, i walili z nich w kolumny moskiewskie — co dym się trochę rozejdzie, to widzimy jak się błyszczą giwery jegrów moskiewskich i nabijają broń i strzelają. Stoimy tak już kawałek czasu, żołnierzy z pułku Działyńskich leży już trochę na ziemi, i naszych kilku rannych, a P. Kiliński chodzi przed szeregiem, i dodaje ducha, i wąsa podkręca, i woła: „Nie bójcie się dzieci! Bóg z nami! wszak to nie dla prywaty, ale za kraj nasz się bijemy! kto ranny będzie to będzie miał piękną pamiątkę na całe życie, a kto zginie, to prosto do nieba pójdzie! Czekajcie jeszcze moment, widzicie jak P. Haumann jak w tęczę w nich patrzy! jak tylko ujrzy chwilę po temu, to wpadniem na nich, i będziem w kapustę rąbać, bo na swoich śmieciach, to i wiory biją!“ Postaliśmy jeszcze ze trzy pacierze, i naszych chłopców kilka a Działyńskich kilkunastu padło, aż P. Haumann cofnął raptem konia, szablą wskazał na nieprzyjaciela i zawołał:

„A nuże! Mości Kiliński, naprzód śmiało! nim się upamiętają i skrój im cholewy!“

„Kto w Boga wierzy naprzód!“ — krzyknął Kiliński i z szablą do góry wypada przed front Działyńskich, a my za nim i pędzim prosto przed sobą. Ogień z naszéj strony ustał, a w szeregach nieprzyjacielskich ogromna była przerwa, którą kule działowe zrobiły.“

Wśród przerwy przewracali się ranni, w tę to dziurę dążyliśmy. Przed szeregami uwijał się jakiś starszy i wołał na cało gardło; „W pierod rebiata! w pierod!“ Poskoczyłem, żeby mu kurtę skroić, ale P. Kiliński zatrzymał mnie ręką i rzekł mi:

„To moje miejsce na przodzie!“ i leci do niego. Officer moskiewski zwrócił się, chciał go ciąć, ten odbił raz, palnął go po łapie i poprawił po łbie, a Moskal jak snopek zwalił się z konia, a ja myślę sobie: oj! i tobie nie szewcem, ale wodzem było się urodzić.

Wpadamy w środek jegrów i nuże po nich! trudno im się było w ciasnocie wykręcić z długiemi karabinami, a tu nasze szable przy łunie pożaru, jak błyskawice migają, a co cięcie, to jeden leży; na prawéj stronie wpadli na nich Działyńscy i kolą sztychami, a ci giną a stoją!

Nareszcie silnym głosem krzyknął P. Haumann: „Na prawo i na lewo rozstąp się!!!“ rzuciliśmy się ku Saskiemu placowi, a tu dwa działa kartaczami nabite zagrzmiały, a kupa jegrów piętrzy się.

Widząc to starszyzna zaczęła wołać: „nazad!“ nazad! odwracają się i już chcą uciekać, aż tu od zamku pędzi ku nim szwadron ułanów przedniej straży lance do attaku, jeźdźce na koniach podani, a przodem na srokaczu sadzi Rotmistrz ich P. Leszczyński; widząc się zewsząd otoczeni, ręce im opadły, którys krzyknął: „pardon!“ cały pułk powtórzył ten krzyk i zaczęli broń rzucać i klękali. P. Haumann pocisnął konia, stanął przed nimi, rękę wyciągnął: „Hola! zawołał, bezbronny, to jak poświęcony, ani mi się ich tknąć!“ I kazał broń zabrać, a jegrów popędzić do Wizytkowskiej kamienicy, gdzie w dziedzińcu ich zamknięto. Potem się witał z P. Leszczyńskim, pochwalał P. Kilińskiegu i jego oddział, a mnie się téż dostało. Przemówił potem P. Haumann do nas, że to dopiero początek, że nam jeszcze dużo zostaje do zrobienia i ciągnęliśmy ku Miodowéj ulicy, gdzie najsroższy bój był, koło mieszkania Igelstroma. P. Haumann jechał przodem, za nimi dwa działa, po obu stronach nasz oddział, w połowie pod wodzą P. Kilińskiego, w połowie pod moją, za nami Działyńscy, a pochód zamykał szwadron P. Leszczyńskiego. Jużeśmy mieli się wykręcać na senatorską ulicę, kiedy z Podwala w największym pędzie wypada kareta sześcioma ciągniona końmi a otoczona ćmą dragonów, ktoś z pomiędzy nich zawołał: „Igelstrom!“ a ja dobywam pistolet i palę do karety, tylko szyby zabrzęczały, a tu w ten moment dragon ranił mnie w lewą rękę; odwracam się na pięcie i tnę go między oczy, zachwiał się, ktoś z moich dobił go piką, a kareta jak wiatrami pędzona znikła. Idziemy Senatorską i słyszymy gwar wielki i strzelanie. Na samym zakręcie na Miodową ulicę, kilkunastu szlachty i mieszczan biło się desperacko z oddziałem, co ich otoczył, a przywódzcą broniących się był młodzieniec urodziwy, w białéj jak śnieg koszuli, gdzie niegdzie pokrwawionéj, bez sukni wierzchniéj i cudów waleczności dokazywał. Skinął na mnie P. Haumann, spiął konia ostrogą, i ruszyliśmy na odsiecz młodzieńcowi i jego towarzyszom; w jednem mgnieniu oka rozpędziliśmy napastników, a P. Haumann spojrzawszy na młodzieńca, któremu ręka opatrywali, zawołał:

„A książe tu co robisz!“ ten najspokojniéj odparł: — „A cóżeś Pułkownik chciał, żebym z Igelstromem uciekał, albo spokojnie siedział kiedy rodacy się biją? — nie wartbym imienia które noszę! ruszajmy dalej! zawołał, bo czasu nie ma do stracenia!“ Późniéj się dopiero dowiedziałem, że to był książę Eustachy Sanguszko.

Przy wejściu na Miodową, stanęły nasze działa, kanoniery z lontami zapalonemi przy nich, a my biegiem spieszyli gdzie walka.

W kościele O. O. Kapucynów okno wielkie od chóru otwarte, w oknie stał Gwardyan w komży i stule, krzyż w ręku; za nim zakonnicy, błogosławił walczących i absolucyą dawał umierającym; przykląkłem na ten widok, a tu mi się słabo robi, bo mi krew uchodziła, i upadłem bez przytomności i nie wiem co się ze mną stało, a kiedym się obudził, znalazłem się w Refektarzu na słomie z wielu innymi, których księża opatrywali, kazali mi spokojnie leżyć, dali coś pokrzepiającego i smaczno zasnąłem.“

WSPOMNIENIA UŁANA
z roku 1863.

zebrał
Zygmunt Lucyan Sulima.
(Ciąg dalszy).

Cofając się Chmieliński nad wieczorem tegoż samego dnia, stanął na nocleg w wiosce Kwilinie, położonéj między Włoszczową a Szczekocinami. Miał zaś widocznie zamiar ruszyć daléj zaraz nazajutrz, bo pospędzał mnóstwo podwód

dla piechoty, które zajęły łańcuchem szeroką i jedyną ulicę wioski. Tymczasem Moskwa z Bentkowskim ruszając w ślad za Chmielińskim dotarła już nocą do jego obozowiska, nie spodziewając się tego wcale. Noc była ciemna, wietrzna i ponura. Bentkowski szedł ostróżnie, ominął konną wedetę i podsunął się tak blisko pod sam obóz, że go spostrzegła dopiero piesza placówka, oddalona od obozu na kilkanaście zaledwie kroków. Połowa z oddziału powstańczego już spała — jazda przywiązała konie do płotu, poza którym rozłożono wielkie ogniska przy których kolacyą gotowano. Moskale na strzał pieszéj pikiety, odpowiedzieli natychmiast salwą karabinowego ognia mierząc ku owym ogniskom. Jazda narażona w skutek tego głównie na grad kul nieprzyjacielskich, porwała się jak szalona i w panicznym strachu pierzchła na wszystkie strony, rozbijając piechotę i podwody. Piechota znużona bojem i całodziennym marszem, napadnięta z nienacka tratowana przez własną jazdę, nie wytrzymała także tego ataku niespodziewanego, tak dalece, że z całego oddziału zostało tylko przy Chmielińskim kilku ludzi, kilku oficerów i nic więcéj, z którą to garścią stanął on we wsi Dzierzgowie. (*)

Od ostatniéj téj klęski w Kwilinie, Chmieliński już nie przedsiębierze nic zaczepnego. Dzieli znów swój oddział na kompanie — jazdę oddaje Rzepeckiemu, bo Markowski pod pozorem słabości złożył nad nią dowództwo. Rzepecki powiódł tę jazdę w Święto-krzyzkie góry i pod Strojnowem na ciężką naraził klęskę. Połowa jéj poległa albo rozprysła się. Sam Chmieliński znów kryje się po dworach szlacheckich. Ciężar swego działania przenosi już pod zimę w okolice Świeto-krzyzkie. Myśli o ufortyfikowaniu jakiéj miéjscowości, gdzieby miał odpowiedni punkt oparcia — każe lać działa, których w istocie ulano kilka w okolicach Zwolenia i Puław. Były to po większéj części sześciofuntówki — robiono je ze słupów żelaznych, stojących co wiorsta po szosach. Działania jego oddziału są rozproszone i nieujęte — pojedyńcze kompanie w skutek napadów moskiewskich liczne i ciągłe staczają utarczki. Moskwa wydała surowy rozkaz wszystkim wójtom gmin i właścicielom wiéjskim, ażeby natychmiast donosili najbliższemu dowódzcy wojsk moskiewskich, jeźli się zjawi jaki oddział powstańczy u nich czy w okolicy. Również nakazali spisywać listy tych co wyszli do powstania. Rząd Narodowy na taki rozkaz odpowiedział groźbą śmierci tym wszystkim, którzyby ośmielili się donosić Moskalom o pobycie powstańców. Jakie ztąd fatalne dla mieszkańców wsi wyrosło położenie nie potrzebuję mówić — jakich ztąd nieszczęść gromady zawisły nad nimi, jak przykrem, w ciągłéj obawie było ich życie, każden łatwo się domyśli. Dla uniemożebnienia zaś owych nader niebezpiecznych spisów, Rząd rewolucyjny nakazał wszędzie palić księgi ludności. Wyradza się ztąd straszliwe, anormalne, chaotyczne położenie w kraju. Śmierć, jak chmura czarna wisi nad głowami wszystkich. Walka ani na chwilę nie ustaje -- owszem jak w krakowskiem pod tę dobę rozwija się, olbrzymieje — a choć nadzieja zagranicznéj interwencyi zgasła, choć straszne widmo zimy zbliża się, zbrojne powstanie rozmaga się nad podziw. Na wieść listopadowéj mowy Cesarza Francuzów w ciele Prawodawczem, którą poniżéj przytaczamy w całości, nadzieje się wzmagają i postanowienie utrzymania ruchu do wiosny bądź co bądź rozszerza się po wszystkich naczelnikach powstania. A wiosna ta brzemienna nadzieją, przyniosła tylko trumnę.... Dzienniki galicyjskie zachęcają do walki — prasa w ogóle roznamiętnia się, z obu stron szermierka słów dochodzi do obelg, do fałszów. Dziennik Powszechny, organ rządowy w Warszawie wychodzący, kłamie co się zmieści, opowiadając dziwy o okrucieństwie powstańców, o zakopywaniu ludzi żywcem... Z drugiej strony Czas krakowski berło także trzyma pod względem fałszów i obelg na Moskwę.

W téj też dobie powstanie w Krakowskiem straszną ponosi klęskę w osobie Czachowskiego. Ten bowiem z licznym nader oddziałem, bo do tysiąca blizko ludzi wynoszącym, wkracza z Galicyi na dniu 20 Października do Królestwa. Oddział ten, złożony przeważnie z samych Galicyan, Węgrów i Francuzów, wszystko ludzi fachowych i żołnierzy, doskonale uzbrojony, wyćwiczony i karny, bo przez trzy blizko miesiące odbywał wojenne ćwiczenia w Galicyi, przeszedł Wisłę pod wsią Osiekiem niedaleko Sandomierza. Moskwa jak zwykle uprzedzona była o wkroczeniu Czachowskiego, ale nieświadoma jego liczby — to też oddział jaki wysłano ze Stobnicy naprzeciw powstańców wynoszący zaledwie dwie kompanie piechoty i szwadron dragonów, pod dowództwem majora Czuti, poniósł klęskę i cofnąć się musiał. Sami Moskale w raporcie swoim urzędowym mówią, że starcie to „kosztowało wojsko dużo ofiar.“ *) Czuti więc cofnąwszy się i przez to zostawiwszy Czachowskiemu wolne przejście, zażądał na gwałt posiłków ze Staszowa. Czachowski tymczasem forsownym marszem pędził daléj i dotarł aż do wsi Iwanisk, leżących niedaleko Klimontowa w Sandomirskiem. Chmieliński ze swéj strony uwiadomiony o tem wkroczeniu a znajdujący się w Świętokrzyzkich górach, sprowadza gwałtownie swą jazdę z pod Szczekocin, zgromadza oddział i pędzi na spotkanie Czachowskiego. Przestrzeń atoli zbyt wielka go dzieliła, ażeby mógł na czas przybyć. Tymczasem Czuti zdala obserwujący Czachowskiego, otrzymał w posiłku jednę kompanią piechoty — równy więc prawie co do sił powstańcom a przytem pewny nowéj pomocy, dążącéj ku niemu z Sandomierza pod wodzą podpułkownika Gołubiewa a silnéj na trzy kompanie piechoty i sotnią kozaków — zaatakował Czachowskiego we wsi Iwaniskach dnia 21 Października. Ten w samym początku bitwy, czy nie widząc ocalenia, czy innem uczuciem powodowany porwał jazdę i uszedł z nią w kierunku lasów Iłżeckich, zostawiając piechotę na łasce Bożéj. Otoczona ze wszystkich stron, bez naczelnego dowództwa, bo niejaki Liwoczy, który po odejściu Czachowskiego objął naczelny kierunek boju, odcięty zamknął się z garścią swoich w jakiejś chacie rozpaczliwy bój wiodąc o życie – przerażona przybywającym na podwodach Gołubiewem piechota ta zamknęła się w staj-

(*) Chmieliński sam był w wielkiém niebezpieczeństwie i winien tylko ocalenie swoje porucznikowi jazdy Bromirskiemu, który mu podał swego konia. Rotmistrz Rzepecki uciekając przez rzekę płynącą pod Kwiliną spadł z konia i o mało się nie utopił. Adjutant Chmielińskiego Winiewski ciężko ranny całą noc przeleżał pod kanapą, na któréj Bentkowski spał. Markowski zaś, stary żołnierz, cofając się z Chmielińskim przez całą drogę wyrzekał na nieostróżne postępowanie pułkownika. Ktoś usłużny doniósł o tem Chmielińskiemu — ten więc stanąwszy w Dzierzgowie tak się odezwał do Markowskiego:

— Słyszałem majorze że krytykujesz moje czyny!? jak psu w łeb strzelę!...

— Pułkowniku!...

Milczeć!... i porwał się gniewny. Markowski umilkł — ale natychmiast złożył dowództwo nad jazdą i usunął się.

*) Czytaj Dziennik Powszechny z r. 1863 251.

niach i owczarniach i głucha na wszystko, straszny, szalony bój zawiodła. Atak po ataku moskiewskiéj piechoty odpierając bagnetem już kilka godzin uporała się tak z nieprzyjacielem, gdy Moskwa nie widząc możności wyparowania powstańców z zajmowanych stanowisk, podpaliła owe stajnie i owczarnie i prawie połowę oddziału nieustającego walczyć spaliła... Do niewoli wzięła 24 ludzi — reszta rozbiegła się, albo legła albo zgorzała... Bohaterzy ci, to istni święci męczennicy... Kiedyś potomstwo nasze ziemię, krwią przesiąkłą z pod Iwanisk, brać winno jako relikwie ojczyste... Z oficerów powstańczych zginęli tu Rosner i Popowski. Moskwa miała blizko 50 trupa, 77 rannych, między którymi dwóch oficerów. Chmieliński spóźnił się — rozproszony w Kwilinie ledwie z garścią swoich przybiedz mógł nazajutrz po bitwie wieczorem pod Iwaniska, by patrzeć na zwęglone ciała bohaterów!...

Czachowski tymczasem na czele jazdy ruszył lasami Iłżeckiemi w okolice miasta Lipska w Opatowskiem i tu uwijając się przez jakiś czas, przechodząc nawet Wisłę tam i napowrót, gromadził zapasy na zimową kampanią. Moskale dowiedziawszy się o tem, zrobili nań wyprawę z Radomia i na dniu 6 Listopada zaatakowali we wsi Krępy. Otoczony ze wszystkich stron i rozbity oddział jego pierzchnął w nieładzie. Sam Czachowski ścigany zawzięcie, przebiegłszy pędem wieś Wierzchowiska własność jego siostry, dognany został na polach wioski Jawór Solecki przez dwóch poruczników moskiewskich Kedyanowa i Assyewa i zarąbany... Tak poległ ten siwy starzec w walce o niepodległość — człowiek wielkiéj energii i żelaznego hartu ducha... Jeden tylko wisi błąd straszny na jego pamięci to jest wydanie na rzeź, na krwawą kąpiel, piechoty swojéj w Iwaniskach.

Zniszczoną więc została ze szczętem znaczna pomoc dla powstania, jaką wiódł Czachowski. O téj dobie także wkroczył na czele świetnie umontowanéj jazdy generał Bosak z tytułem naczelnego wodza województwa Sandomirskiego i Krakowskiego i połączył się z Chmielińskim, ustępującym w Świętokrzyzkie lasy przed nową wyprawą Czengierego. W lasach tych sformował się już pod zimę nowy oddział pod dowództwem Rembaiły i uczyniwszy zasadzkę na Moskali pod Iłżą, straszną rzeź im sprawił kosami. Dalsze dzieje krakowskiego powstania przerwać teraz wypada, gdyż powołują nas do siebie wypadki warszawskie.

W pierwszych dniach Listopada Berg został ostatecznie mianowany namiestnikiem Królestwa — współcześnie z nominacyą tą przybył do Warszawy Trepow w stopniu Ober-Policmajstra. Utworzono naczelników wojennych, zwiększono policyą, polskich urzędników policyjnych i niższą służbę zastąpiono moskalami. Rząd Trauguta, skrępowany tą silną presyą Moskwy, nieudolny sam w sobie, nic prawie nie działał — niższa organizacya rewolucyjna i jéj naczelnicy należący do partyi anarchistów, działali daléj na swoję rękę, nie pytając się o nic Rządu Narodowego. I tak za ich to staraniem a bez wiedzy Trauguta wykonano na rogu Senatorskiéj i Danielewiczowskiéj ulicy zamach na Trepowa dnia 3 Listopada. Uderzony siekierą w tył głowy schwycił rękę uderzającego i oddał go nadbiegającym milicyantom. Nie udanie się tego zamachu nie odstraszyło przecież resztek anarchistów — ciągłe egzekucye na placach publicznych miasta rzucając grozę na mieszkańców, ich nie przerażały. W pierwszych dniach Stycznia 1864 roku postanowili oni na balu, wydawanym przez prezydenta miasta Witkowskiego, uczynić wielki zamach — ale nie przyszedł do skutku, bo Moskwa przedtem jeszcze aresztowała głównych jego wykonawców.

Rząd Trauguta, skrępowany niedolą, konał powoli, aż runął ostatecznie w marcu 1864 roku. Dzieje jego upadku i objęcie naczelnéj władzy przez Brzezińskiego i Waszkowskiego nie wchodzą już w zakres naszéj opowieści. Przy końcu tylko téj pracy wspomnimy o nich w główniejszych zarysach.

ROZDZIAŁ VII.

Mowa Napoleona III w Paryżu. — Bitwa pod Piekiełkiem, Ociesękami, Bodzechowem. — Śmierć Chmielińskiego. — Klęska Opatowska. — Rząd Waszkowskiego. — Zakończenie.

Posępna i dość silna zima zdawało się, że ostatecznie przyłoży pieczęć „consumatum est" na powstanie — że ciągłe krwawe klęski téj walki bez nadziei, bez podpory i spoczynku zwątlą smutnego jego ducha, niby ciemne widmo Grotgerowskiego rysunku. Tymczasem, jak światło lampy kiedy zgasnąć już za chwilę ma, błyska niekiedy potężniejszym blaskiem, tak i powstanie w strasznéj agonii swojéj, błysło takim świetlistym blaskiem, na głos jedwabnych słówek, pędzących po długiéj ciszy z zachodu.

Po zamianie dyplomatycznych not, któreśmy w poprzednich rozdziałach przytoczyli, po zuchwałéj odpowiedzi Gorczakowa, Francya umilkła i zdawało się, że już nie podniesie kwestyi Polskiéj więcéj. Anglia i Austrya ani słyszeć chciały o wojnie — chętne były do poparcia kwestyi polskiéj, ale tylko na drodze pokojowéj. Ta więc droga pokojowa musiała być jeszcze raz podniesioną.

Na dniu 3 Listopada Napoleon IIIci wygłosił następującą mowę, przy otwarciu posiedzeń Ciała Prawodawczego, która pozostała tylko jako świadectwo, że były Cesarz Francuzów umiał ładnie mówić, ale nic więcéj. Część jéj, najbardziéj interesującą, bo odnoszącą się do kwestyi polskiéj, przytaczam tutaj w dosłownym przekładzie:

„...... Kwestya polska wymaga szerszego rozwinięcia.

„Kiedy wybuchło powstanie polskie, rządy Rossyjski i Francuzki były w jak najlepszych ze sobą stosunkach. Od chwili pokoju, zgadzały się one w poglądach na najważniejsze kwestye europejskie i nie waham się wyznać, że podczas wojny Włoskiéj i w chwili anneksyi hrabstwa Nicei i Sabaudyi, Cesarz Aleksander użyczał mi poparcia jak najszczerszego i serdecznego.

„Dobry stosunek wymagał, ażeby go oszczędzano i trzeba było kwestyi polskiéj tak popularnéj we Francyi, ażeby nie zawahać się w naruszeniu jednego z najpierwszych sprzymierzeńców kontynentu i żeby podnieść głos na korzyść narodu buntowniczego w oczach Rossyi, a w oczach naszych spadkobiercę praw zapisanych w dziejach i traktatach.

„Co więcéj, kwestya ta graniczy z najważniejszemi interesami europejskiemi. Nie mogła ona być traktowaną w odosobieniu i tylko przez samą Francyą. Obraza naszego honoru, zagrożenie naszych granic, zmusiłyby nas samych do działania bez przedwstępnéj ugody. Byłoby wówczas rzeczą konieczną, podobnie jak w wypadkach Wschodnich i Syryjskich, porozumieć się z mocarstwami, mającemi jednakowe z nami powody i interesa.

„Powstanie polskie, nabywszy trwałością swoją, charakter istnie narodowy, obudziło wszędzie współczucie i dyplomacyi

jedynym celem było zyskać dla téj sprawy jak największą liczbę, ażeby zaciężyć na Rossyi całym ciężarem opinii Europejskiéj. Taki zbieg jednozgodnych prawie życzeń, zdawał nam się najwłaściwszym do zwrócenia uwagi gabinetu St. Petersburgskiego.

„Nieszczęściem, nasze bezinteresowne rady wytłomaczono sobie jako groźbę a kroki Anglii, Austryi i Francyi zamiast zażegnać walkę, owszem podsyciły ją jeszcze. Z obustron, wykonywa się mnóstwo nadużyć, które trzeba w imieniu ludzkości gorzko opłakiwać.

choroby Europy, z pośrodka tylu żywiołów rozstroju, wykwitnie nowa era porządku i pokoju.

„Czyż nie przyszła już chwila do odbudowania na nowych podstawach gmachu, podminowanego czasem i zniszczonego kamień po kamieniu przez rewolucye?

„Czyż nie jest naglącem uznać przez nową konwencyą to, co się odwołalnie już wypełniło i wypełnić to jeszcze za wspólną zgodą, czego wymaga pokój świata?

„Traktaty z 1815 roku przestały istnieć. Siła rzeczy zwaliła je albo dąży jeszcze do ich zwalenia prawie wszędzie



Kiliński na czele rzemieślników uderza na Moskali.

„Cóż pozostaje do czynienia? Czyż jesteśmy postawieni w obec dwóch tylko alternatyw wojny lub pokoju?

„Nie. Bez uciekania się do broni ani bez umilknięcia, pozostaje nam jeszcze jeden środek to jest: przedłożenie kwestyi polskiéj przed sąd trybunału europejskiego. Rosya oznajmiła już, że konferencye na których będą rozbierane wszystkie interesa europejskie, w niczem nie obrażą jéj godności.

„Uchwyćmy to oznajmienie, niech ono nam posłuży do przygaszenia raz na zawsze, wszelkich fermentów niezgody, gotowéj wybuchnąć ze wszystkich stron i niechaj z samej

— strzaskano je w Grecyi, w Belgii, w Francyi, we Włoszech i nad Dunajem.

„Niemcy pragną je zmienić.

„Anglia wspomiałomyślnie je zmodyfikowała ustępując wysp Jońskich — a Rosya depce je Warszawie.

„Wśród tego nieustannego niszczenia zasadniczych paktów europejskich, namiętności płomienne burzą się i tak na południu, jak na północy potężne interesa wymagają ich rozwiązania. Cóż więcéj prawnego, bardziéj rozumnego jak zaproszenie mocarstw europejskich na kongres, gdzie miłość własna i opór zniknie w obec najwyższego sądu?

„Cóż odpowiedniejszego idei epoki, żądaniom większéj części liczby, jak odwołanie się do sumienia, do rozumu mężów stanu wszystkich narodów i powiedzenie im:

„Przesądy, zatargi nas dzielące czyż niedość już trwały? Zazdrosna rywalizacya wielkich mocarstw czyż ciągle ma przeszkadzać postępowi cywilizacyi?

„Czyż ciągle między nami istnieć będzie wzajemna nieufność, wynik wygórowanych uzbrojeń? Czyż najkosztowniejsze źródła ciągle się mają wyczerpywać na próżną ostentacyą sił naszych? Czyż ciągle ma istnieć ten stan, który nie jest ani pokojem pewnym, ani wojną z jéj szczęśliwemi szansami? Nie opierajmy się już więcéj dla ciasnych wyrachowań, prawnym dążeniom ludów.

„Miejmy odwagę zastąpić położenie chorobliwe i błędne stanem pewnym i regularnym, choćby to miało nas kosztować dużo ofiar.

„Złączmy się bez uprzednich zamiarów, bez wyłączających ambicyi, ożywieni jedną tylko myślą ustalenia porządku rzeczy, opartego na dobrze zrozumianym interesie panujących i ludów.

(Dokończenie nastąpi).

SERBSKIE ŁUŻYCE

przez

R. ZMORSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Dawne słowiańskie w budynkach drewnianych zamiłowanie przechowało się tu tak silnie, że nawet tam, gdzie kamień tuż pod ręką leży, drzewo zaś drogo kupować i z daleka sprowadzać trzeba, Serb, o ile podobna, z niego buduje. Mieszkalny dom stoi zawsze szczytem do ulicy wioski, wejściem na podwórze obrócony. Dach, od strony pódwórza na parę łokci wysunięty i na słupach drewnianych wsparty, tworzy rodzaj prostéj galeryi, winem, lub inną pnącą się rośliną często ocienionéj, w lecie za miejsce zebrania się i spoczynku, w zimie za schronienie różnych sprzętów gospodarskich służącéj.

Przez niewielką sień, służącą zarazem za kuchnią, w któréj kominie wędzą się mięsne zapasy, wchodzi się do obszernéj izby, w któréj każdy nasz chłopek znalazłby się natychmiast jak we własnym domu. Gładko ociosane bale ścian i powały zachowane zostają w naturalnym swym stanie, bez żadnego malowania lub bielenia. Podłoga rzadko z desek, zazwyczaj z gliny ubita. W jednym rogu stoi ogromny piec kaflowy, z wmurowanym wielkim żelaznym, albo miedzianym garem, wiecznie na potrzeby gospodarstwa wrzącéj wody dostarczającym. Obok pieca niezbyt obszerny komin, zimą do gotowania i za ognisko zebrań wieczornych służący. W drugim rogu znajduje się ciężki stół, na prostych, lub krzyżujących się nogach; daléj wiadro na wodę, dzieża z kwasem i szafa, w któréj kuchenne i stołowe mieszczą się naczynia. Na ten ostatni cel służy także przytwierdzona pod pułapem półka. Ławy potężne otaczają piec i niezajęte ściany. Jeżli są dzieci, to stoi lub wisi u powały, pleciona, albo z drzewa zbita kołyska.

Do izby téj dotyka komora, z szerokiém łożem gospodarstwa, tudzież skrzyniami i szafami, w których pieniądze, odzienia i inne cenniejsze przedmioty przechowywane bywają. Stronne schódki prowadzą z sieni na poddasze, w części przeznaczone dla domowników komórki, w części składy różnego rodzaju ziarna i innych zapasów mieszczące, a licznemi, choć drobnemi dymniczkami oświecone.

W przedłużeniu mieszkalnego domu, zwykle tak, że przez sień tylko przejść do niéj z izby potrzeba, znajduje się obora, gdzie, obok wołów i krów, mieszczą się także konie i inny żywy inwentarz.

Na przeciwko głównego domostwa stoi częstokroć mniejsza chata, mieszkanie rodziców gospodarza, gdy ci chcąc żyć spokojnie, synowi gospodarstwo zdali. Syn w takim razie obowiązuje się im dostarczać pewną ilość produktów i jakąś część z dochodu w gotowiźnie.

Nieco opodal od mieszkalnych domów znajduje się stodoła, zwykle z gliny bita i inne pomniejsze gospodarskie budowle. Piec do chleba i suszenia lnu, czasami bywa wśród ogrodu; częściéj jednakże takowe stoją rzędem, wśród ulicy wioski.

Opisaliśmy tu gospodarstwo tak zwanego kmiecia (po serbsku bur, z niemieckiego Bauer) posiadającego około 30 mórg magdeburgskich roli, ziemi na których, oprócz pary zwykle koni, utrzymuje dwadzieścia kilka sztuk bydła. Prócz takich przecież są i pomniejsi gospodarze, zagrodnicy (zahrodnik), po parę tylko mórg mający, a wreszcie chałupnicy (khježkar) i budnicy (budarz), których całą własność chałupa z maleńkim ogrodem stanowi i którzy głównie z najmu żyją.

W chacie serbskiego chłopa przechowało się w całéj czystości starosłowiańskie patryarchalne życie. Gospodarz przewodniczy wszystkim czynnościom z powagą i dostojnością; rolnictwo bowiem nie jest dla niego tylko sposobem zbierania zysków, ale za rodzaj wysokiego urzędu poczytuje on wydobywanie i rozdzielanie darów Bożych. Poczynając od żony, rodzina i domownicy okazują mu cześć i bezwzględne posłuszeństwo. Najemna czeladź uważa się raczéj za wspólników gospodarstwa, niż za sługi. Pomiędzy nią a dziećmi gospodarza, takież obowiązki pełniącemi, panuje zupełna równość. Wszystkie spory i niesnaski gospodarz ucisza i rozsądza, z czyniącą zaszczyt sprawiedliwością i rozwagą, nieodzownemi zresztą, aby stanowisko swe moralne mógł nadal utrzymać.

Trzy razy na dzień do śniadania (śniedanie) obiadu (wobied) i wieczerzy (wieczer') zasiadają wszyscy po za stołem. Przed każdém jedzeniem odmawia się Ojcze nasz i stósowna krótka modlitewka, po jedzeniu zaś podobnież krótkie dziękczynienie. Wszystkie te modlitwy, pod przewodnictwem gospodarza, recytowane są przez całe towarzystwo na głos naprzemian wynosząc go i zniżając, na podobieństwo odmawianych w zakonnych chórach psalmów. Jest to ogólny sposób modlenia się Serbów i dla tego zamiast naszego: odmawiać pacierze. używa się tu wyrażenie: śpiewać pacierze.

Pożywienie zwykle jest skromne i podobnie jak u naszych chłopów składa się głównie z mleczywa, jarzyn, krup i mąki, z bogatszą tylko niżeli u nas okrasą. Mięso lub pieczeń we święta jedynie zjawia się na stole. Za to w uroczystości wielkie religijne lub familijne, panuje podobnież jak u nas, wszelki możebny dostatek i zbytek.

O ile w domowych stosunkach patryarchalną naczelnika władzę, o tyle w społeczném życiu serbskiéj gminy widzimy najdoskonalszy starosłowiańskiego gminowładztwa zabytek. Wszystkie ogółu dotyczące sprawy, załatwiane bywają na powszechném zgromadzeniu, do którego tak dobrze należy najbogatszy, jak i najmniejszy we wsi gospodarz. Sposób w jaki sołtys na takowe gminę zwołuje, jest niezmiernie ciekawy i widocznie najdawniejszych sięgający sposób. Obsyła on po wsi w kolei kij zakrzywiony (kokula), lub młotek drewniany, niewątpliwie niegdyś władzy zwierzchniczéj znamiona, wręczając takowe najbliższemu sąsiadowi swemu, który je niezwłocznie daléj podać jest obowiązany. Dość mu jest na to, spostrzegłszy sąsiada lub jego czeladź, rzucić im znak w dziedziniec domostwa. W sposób takowy, znak ów, obiegłszy wieś całą, wraca nazad do sołtysa. W dzisiejszych czasach, łącząc dawny obyczaj z świeżemi wymaganiami, do symbolicznego znaku przywiązane bywa pisane wezwanie.

Sposób ten zwoływania się w razie wspólnéj potrzeby, przypomina żywo obsyłanie ognistego krzyża w górach szkockich, którego tak cudny obraz skreślił Walter Skott w swojéj:

„Dziewicy jeziora.“ Jeszcze zaś bliższe podobieństwo z łużyckim zwyczajem, przedstawia obsyłanie buławy między naszemi plemionami tatrzańskiemi, którego wymowny opis znajdujemy w pouczających wielce przypisach do trzeciego tomu Historyi Prawodawstw Słowiańskich Maciejowskiego.

„Ilekroć — mówi autor — przywileje nowém jakiém rozporządzeniem rządowém są zagrożone, ilekroć chodzi o lasy, o paszę i zgoła o jakiebądź prawo, wtedy dwóch lub najwięcéj trzech (sołtysów), naradziwszy się z sobą poprzednio tajemnie, zwołują gromadę. Obsyłają buławę po wioskach oznajmiają czas i miejsce zboru, lecz nikt nie wie od kogo rozkaz wychodzi i o czém rada będzie. Buława przechowuje się u sołtysów starszych, a każdy ma obowiązek podać ją z jak największym pospiechem do sąsiedniéj chaty. Wpadając do domu kładzie ją na stół i woła: Dziś o północku wielka gromada tam i tam. Ktokolwiek jest w domu dziecko, niewiasta, starzec czy sam gospodarz, biegnie w téj chwili do sąsiedniéj chaty z podaną sobie buławą. Tak obiega w kilku godzinach buława wszystkie gromady i powraca do rąk tego co ją wysłał. Zestawiwszy te obadwa, tatrzański i łużycki obyczaje, możemy sobie wystawić, jak były niegdyś obsyłane w Polsce owe wici, których tradycyjna nazwa przetrwała tak długo w życiu Rzeczypospolitéj.

Zwołane w sposób wskazany zgromadzenie łużyckiéj gminy, latem odbywa się w cieniu rozłożystéj jakiéj lipy, która u nich świętém była drzewem, zimą zaś w karczemnéj izbie. Sołtys (sołta) przewodniczy rozprawem; w około niego, w półkole zasiadają radni (starzi) gminy. Zgromadzenie bywa długie i burzliwe, bo Serb, wierny naturze słowiańskiéj, lubi się wygadać i obstawać zawzięcie przy zdaniu swojém, nie odstępując odeń tak snadnie, choćby go o niesłuszności jego przekonano. Zwolna burza się ucisza i zgoda, jeźli nie dziś to jutro następuje. Tak gadulstwo i drobna miłość własna w radach gminnych, gdzie jest czas wygadać się i namyślić, nie czynią szkody, lecz pomyślawszy sobie, że takąż koleją musiały kiedyś iść rady u ludu tego w chwilach jego walk i niebezpieczeństw, znajduje się wiecznych klęsk jego wytłómaczenie. Niestety! nie jednym to Serbom właściwe wady.

Kto lubi wiele rozprawiać, lubi także pić wiele. Dowodów na to dostarcza historya naszych sejmikowych czasów; dostarcza ich też każda wieś łużycka. Zgromadzanie się na posiedzenia piwne i gorzałczane, późno w noc się przeciągające, w niedziele i święta, jest jak gdyby prawem; prócz tego każda okoliczność, każdy pretekst odwiedzenia karczmy chciwie bywa chwytanym. Najmniejszy, czy to w społecznem: czy w domowém życiu wypadek, bądź to smutny, bądź radosny, każdy interes, każdy plan powzięty, każde rozpoczęcie lub ukończenie najmniejszéj gospodarskiéj czynności, w karczmie zapite być muszą.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

FANTAZYA.

W kwiateczków gronie,
Rumieńcem płonie,
Różyczki kwiat —
Czarując świat!

Słowik w podróży,
Siadł obok róży —
Przy kwiatku tuż! —
Wonią oddycha,
I śpiewa z cicha —
Piosenkę róż!

I co dnia wróci —
Piosenkę nuci —
Uwielbia grą —
Różyczkę swą!

Z kwiateczków grona,
Raz upatrzona,
Królowa róż —
Zerwana już!

Od tego ranka
Znikł śpiew kochanka —
Miłosnych snów! —
Bo mu nie stanie
Na dalsze granie —
Natchnienia słów!

W marzeń dziedzinie —
Piosenką płynie —
Różanny ten
Fantazyi sen!

W. E.

Szkoła drzeworytnicza dla kobiet w Pradze.

Istnieje w Pradze czeskiéj: „Ženský Výrobni Spolek Český“ tj. Towarzystwo pracy dla kobiet czeskich. Towarzystwa tego głównym celem jest utrzymanie szkoły przemysłowéj i handlowéj dla dziewcząt, która w 1877 r. liczyła 519 uczennic. W przekonaniu, że podobna szkoła byłaby i u nas w Poznaniu potrzebną, a założenie przecież nie byłoby niemożliwém, gdyż istnieją dwie takie szkoły prywatne, podamy w najbliższych numerach „Lecha“ bliższą o tem towarzystwie wiadomość. Dziś zwracamy tylko uwagę na szkołę drzeworytniczą, którą to stowarzyszenie utrzymuje. Cztery były uczennice w zeszłym roku, które się téj sztuki uczyły. Szkoła ta została otwartą 1 Kwietnia 1873 r.

„Ženský Spolek“ wydaje pod redakcyą zaszczytnie znanéj poetki Eliszki Krasnohorskiéj pismo miesięczne pod nazwą: „Ženské Listy.“ Otóż w tém piśmie z r. 1875 umieszczono kilka drzeworytniczych prób uczennic. „Holoubek“ (gołąbek) rysowany i rytowany przez Maryą Charbuskę jest drzeworyt pod każdym względem doskonałym; dobrą jest też rycina Madonny Syxtyńskiéj, choć tu przedmiot daleko większe nasuwał trudności.

Niejako popis dojrzałości złożyły uczennice, wykonywając drzeworyty do miłéj, prześlicznéj powiastki dla młodzieży pod tytułem: „Pohàdka o Větru,“ napisanéj przez Eliszkę Krasnohorską. Dodanych jest 7 starannie wykonanych drzeworytów, a prócz tego początkowe głoski itd. Zarząd Towarzystwa posłał egzemplarz téj powiastki Cesarzowi austryackiemu, a ten nietylko przyjął tę książkę do swéj prywatnéj biblioteki, ale prócz tego w dowód uznania złożył 200 złr. na rzecz Towarzystwa.

Otóż wymowne owoce cichéj, usilnéj pracy. Redakcya „Lecha“ zamierzała założyć szkołę drzeworytniczą dla kobiet, lecz zamiar ten trzeba było odroczyć, gdy „Lech“ wbrew oczekiwaniu ma tylko 500 przedpłacicieli. Rozpoczęto już rokowania w téj sprawie i prawdopodobnie możnaby uzyskać fundusz dostateczny na rozpoczęcie szkoły drzeworytniczéj, atoli główna rzecz, aby było dla kogo wykonywać drzeworyty, dla tego zanim istnienie Lecha nie będzie ustalone, nie można myśleć o założeniu szkoły drzeworytniczéj w Poznaniu.

Książę Karól Radziwiłł przyjmuje w Nieświeżu króla polskiego.

Sławny książę Radziwiłł, zwany Panie Kochanku, zaprosił króla Stanisława Poniatowskiego do Nieświeża. Towarzyszył mu znaczną część podróży konno. Gdy już byli pięć mil od Nieświeża odlegli, zabawiał Radziwiłł króla aż do nocy,

a dopiero potem prowadził go daléj. Było ciemno na dworze, zatem monarcha rzekł, że bardzo ciemny wieczór.

„Zaraz N. Panie świtać będzie“ — odrzekł książę.

I wnet wprowadził króla w aleję, oświeconą lampami, samą oliwą napełnionemi, która była cztery mile długa, a gorzała światłem aż do pałacu, który także, jak i miasto Nieśwież był wspaniale illuminowany. Kosztowało to oświetlenie 40,000 złp.

Po wieczerzy udał się król i goście do swych komnat na spoczynek. Rano budzi się być Poniatowski, patrzy naokół i widzi, że śpi w swoim pokoju w Warszawie, a owa podróż do Nieświeża snem mu się zdawała. Pokój ten albowiem był zupełnie tak samo umeblowany jak w Warszawie.

Gdy tak król sobie o mniemanym śnie rozmyśla, wtem wchodzi książę Radziwiłł. „A książę co tu porabiasz?“ król zapyta, „ja myślałem, żeś do Nieświeża się udał, a mnie się nawet śniło, że razem z tobą jechałem.“

„Tak jest N. Panie,“ odpowie książę, „nie sen to, gdyż rzeczywiście znajdujesz się w Nieświeżu.“ Król się zrywa z łóżka, bieży do okna i widzi rzeczywiście, że jest w Nieświeżu. „A książę!“ rzecze, „w jakiś ty mnie dziś labirynt tym gabinetem wprowadził.“

O dziesiątéj godzinie z rana prosił Radziwiłł króla na plac, gdzie wojsko piesze i konne różne obroty odbywało.

Król był zadowolniony i mówił, że mu się ten plac bardzo podoba. Książę rzekł: „Jutro ujrzysz Wasza Królewska Mość na tym placu bór, a w nim będzie wszelkiego gatunku zwierz i odprawisz w nim polowanie.“

Król się uśmiechnął i powiedział: „Żartujesz książę.“

Ledwie wrócili do pałacu, już zaczęli chłopi zwozić wykopane z korzeniami drzewa i na placu zasadzać, inni znowu parkany stawiali. Kilkanaście tysięcy ludzi brało udział w téj pracy, to też rano był las gotowy, a w nim pełno łosi, jeleni, dzików, sarn i zajęcy. Dla króla była wystawiona wspaniała altana.

Nazajutrz książę, zaprosiwszy króla na polowanie, wprowadził go do tego zwierzyńca. Poniatowski podziwiał wielce tę sztukę, a potem strzelał do zwierzyny, którą mu naganiacze przed altanę spędzali.

Tydzień trwały te wspaniałe gody w Nieświeżu, o których wspomina Mickiewicz w Panu Tadeuszu temi słowy:

. . . — „Karól-Kochanku Radziwiłł,
Gdy przyjmował w Nieświeżu króla Stanisława,
Sprawił pamiętną ową ucztę, któréj sława
Dotąd żyje na Litwie we gminnéj powieści.“

Wiadomości literackie.

Wyszedł prospekt na pismo, o którém była wzmianka w 29 nr. Lecha. Przytaczamy go dosłownie:

„Zaproszenie do przedpłaty! Z dniem 1. października 1878 r. wychodzić zacznie w Poznaniu „*Tygodnik Powieści.*“ Wydawnictwo to zawrze same li tylko znakomite i cenne utwory literatury powieściowéj powszechnéj. Zapewniwszy sobie pomoc znakomitych naszych pisarzy, oraz wyborowych tłumaczy, zaopatrzeni licznym szeregiem prac już gotowych, tuszymy sobie, iż zyskamy liczne grono czytelników. Na długie wieczory zimowe, pismo nasze dostarczy przyjemnéj, taniéj i zdrowéj rozrywki, gdyż utwory działające tylko na wyobraźnią bez moralnéj i artystycznéj wartości, z zasady z pisma neszego wykluczamy. Nadmieniamy jeszcze, iż wszelkie przekłady dokonywane zostaną w prost z oryginału, a język oraz wybór dzieł zadowolni najzupełniéj słuszne wymagania publiczności. Oto spis autorów, których utwory prędzéj czy późniéj wejdą w skład naszego Tygodnika: Polscy: J. I. Kraszewski, J. Zacharyasiewicz, T. T. Jeż, (Z. Miłkowski), W. Marrené, E. Orzeszko, W. Wolski, oraz wielu innych. Francuzscy: Victor Hugo, G. Droz, A. Daudet, Erckmann-Chatrian, O. Feuillet, ks. Lubomirski, Ferré, A. Dumas, (ojciec i syn), E. About. Angielscy: Bulwer, Dickens, Marryat, Wilkie Collins, M. Braddon, Smyth, Yonge, Halifax, Thackeray, Ainsworth, Aldrych. Włoscy: de Amicis, Verga, Guerrazzy, de Boni, Locatelli, Patuzzi, A. Manzoni, O. Pio, Mancini, i w. i. Hiszpańscy: Caballero, Garcia, P. de los Rios. Duńscy, Szwedzcy i Norwegscy: H. C. Andersen, Bjornsterne-Bjornson, Bergsoe, Nydberg, Flygaré-Carlen, M. Thoresen, Almquist, Heiberg. Niemieccy: Spielhagen, G. Freitag, Gerstäcker, Wachenhusen, Ebers, Hammerling, Vacano, Temme, Hoffmann, Hauff, Ring, Heyse. Węgierscy: Jokai, Gulay, Petöfi, Eötwos. Rosyjscy: Turgeniew, Sołłohub, Krestowski, Pissemski, Tołstoy, Gogoł, Puszkin. Czescy: B. Nemcowa, Chocholouszek, Neruda, Willimek, J. I. Koller, Moser. „Tygodnik Powieści“ wychodzić będzie co sobotę w objętości 1—1½ arkusza i zawierać będzie równocześnie 2—3 powieści. Warunki przedpłaty: w Poznaniu i na prowincyi: rocznie 8 mrk. półrocznie 4 mrk. kwartalnie 2 mrk. w Galicyi: rocznie 5 złr. półrocznie 2 złr. 50 ct. kwartalnie 1 złr. 25 ct. Przedpłatę przyjmuje księgarnia N. Kamieńskiego i Spółki w Poznaniu, oraz wszystkie księgarnie i urzęda pocztowe. W najbliższych numerach drukować zaczniemy: T. T. Jeża, (Zygmunta Miłkowskiego) „Koleje życia;“ oraz następujące przekłady powieści, mających rozgłos europejski: M. Braddon, „Tajemnica rodziny;“ (przekład z angielskiego); i Jakób de Trevannes, (przekład z francuzkiego). Po ukończeniu tychże drukować będziemy: Włodzimierza Wolskiego, „Dyzio, Szczepciu i Maciek“; I. Turgeniewa, „Nieszczęśliwa;“ P. Guylay'a, „Ostatni z rodu“ (przekład z węgierskiego); Sołłohub hr. A. „Żona aptekarza“ (przekład z rosyjskiego). Bjornsterne-Bjornson, „Córka rybaka“ (przekład z norwegskiego). Bergsoe „Nowele włoskie“, Verga „Eros“ (przekład z włoskiego) oraz wiele innych oryginalnych i tłumaczonych powieści i opowiadań.

N. Kamieński i Spółka księgarnia w Poznaniu (Bazar).“

Zwracamy mianowicie na to uwagę, że tłumaczenia wprost z oryginału dokonywać się mają („dokonywane zostaną“ germanizm, zapewne przez pomyłkę wsuniono). Czasby był zaiste, aby tłumaczenia podawać wprost z oryginałów, a nie z przekładów niemieckich. Cóż o nas powiedzą np. Rosyanie, jeżeli ich utwory nie wprost z rosyjskiego, ale z niemieckiego tłumaczenia się podaje. Choćby się co numer drukowało: „*z rosyjskiego,*“ to jednak tłumaczenie nie będzie przez to wprost z oryginału. Dowiadujemy się, że i p. Richter we Lwowie wydaje podobne pismo, a że już w Warszawie wychodzi od dawna Tygodnik powieści i romansów, przeto mamy naraz trzy pisma tygodniowe, poświęcone wyłącznie powieściom.

ŁAMIGŁÓWKA KONIKOWA.

II.

słu	przed	tam	gdzie	wie	ty	dy	go
mus	lecz	bu	a	nią	te	dzie	cha
zdza	do	przy	gdzie	bo	ta	nie	spo
niu	czy	ta	tam	dała	mi	że	cno
gdzie	dą	zgo	ra	wier	ża	go	ma
nią	cha	ność	wro	nie	ka	łość	strze
zam	ty	gdzie	prze	za	dzie	stró	wa
w ko	tam	knie	w swa	ża	by	wsze	i

Ułożył R. Szatke z Poznania.

Redaktor i nakładca Józef Chociszewski w Poznaniu. — Czcionkami H. Schmaedicke w Poznaniu.